JAN CZECZOT
(1797—1847)

GDYBYM W KARCZMIE NIE SIADYWAŁ...

Gdybym w karczmie nie siadywał,
Tobym częściej chleb spożywał;
Tedy karczmę winić trzeba,
Że kawałka nie mam chleba.

Gdybym tam nie siedział cięgiem,
Tobym całą miał siermięgę;
Taka tedy to zapłata,
Że siermięga cała w łatach.

Gdyby nie karczemne stoły,
Tobym krówki miał i woły;
A więc karczmy to jest wina,
Że i wołka nawet niema.

Oj, już siedzieć tam nie będę,
Żeby chleb mieć i siermięgę;
Ze dwie pary wołów, krów —
Gospodarzem będę znów!

Tłum. Alfred Tom.

WINCENTY DUNIN-MARCINKIEWICZ
(1807—1884)

ZE «STAUROWSKICH DZIADÓW»

Z potrawami miski Katarzynka znosi,
Daniło częstuje, gości godnie prosi.
Każdy na glinianym kładzie coś talerzu,
Lecz zanim jeść zacznie, pierwszą łyżkę bierze
I leje do misek, co tam stały w środku,
Aby i duszyczki uraczyć łakotką.
Barszczyk ze słoniną podano do stołu,
Kwaśną wereszczakę z kiełbasą pospołu,
Potem greckie bliny na obrusie stały,
A dalej z prosięciem krupnik lotem strzały
Pośpieszał w talerze: toć wieczerza święta!
Gęsta też lemieszka — kto jej nie pamięta! —
Pęczak i jaglana ze skwarkami kasza:
To jest jadło chłopskie! — to pociecha nasza!...
Ot, na łyżce Kasi motyl siadł niebieski,
Z oczek jej trysnęły drobniuteńkie łezki;
To matuchny drogiej jest duszyczka święta —
Myśli sobie Kasia, wlepi weń oczęta,
Nie porusza łyżką, aby motyl jadł;
On posiedział krzynę — i poleciał w świat.
Pod koniec wieczerzy młody gęślarz dał
Znak dobrodziejowi; wówczas Koźlarz [1] wstał

---

[1] Duchowny z czasów pogańskich Białorusi.

I zaczerpnął łyżką ze wszelakiej strawy,
Poczem pod stół rzucił, nie gwoli zabawy,
Ale że obyczaj dawny tak nauczał;
Gdy się skończył obrzęd, on zaraz zamruczał:
«Staury, Haury — hu!
«Przyjdźcie do nas tu».
Nagle jakby w sieni coś tam zaszumiało,
Rzekłbyś, przyfrunęły wrony chmarą całą;
Potem psów jakoby ujadały głosy —
Ze strachu tu wszystkim dębem stają włosy.
Zerwała się Marchwa, pochwyci łopatę,
Ale Kasia, wziąwszy misę wereszczaki,
Śmiało ku drzwiom idzie i otwiera chatę,
Ażci wchodzą jakieś dwie wielkie sobaki.
Marchwa, przerażona, wciąż łopatą grozi,
By wygnali licho, wszystkich gości prosi;
Zato Kasia wcale psów się nie obawia,
Misę z wereszczaką pod sam nos im stawia,
Śmiało też każdego objęła za szyję;
Brytan patrzy mile, ogonem wywija. — — —
Jak brytany się najadły,
U nóg Kasi sobie siadły,
Potem jakby się ocknęły
I za drzwiami gdzieś zniknęły,
Tylko przy Kasinej nodze
Coś błysnęło na podłodze.
Schyliła się dziewka i palcami chwyta
Dwa cacka, co świecą, jak promienie słońca,
Biorą je też goście i każdy się pyta,
Co za dziwa jakieś? — A Koźlarz, patrzący
Na Kasin podarek od tych dziwnych psów,
Duma, aż z ust płynie taki potok słów:
«To tu cacko złote jest obrazem Łady [1],
Jej też o dobytek włościańskiej gromady
Proście, dziatki moje! Drugie — to krzyż pański,
Więc droga pamiątka wiary chrześcijańskiej.
Kto z was obrazowi Łady odda cześć,
Ten w rozkoszach, szczęściu będzie żywot wieść;
Aby zaś, dziateczki, nie rozgniewać nieba,
Tę drugą pamiątkę w ogniu spalić trzeba.
A te psy — to własność pana Hromoboja,
Który był książęciem niegdyś Krasnopoja;
Za wszelkie usługi, za hołd, mu oddany
Przez Staura i Haura, dzielne te brytany, —
W hramocie do wiernej poddanych gromady
Nakazał biesiadą czcić staurowskie dziady;
Dzień wyznaczył, kiedy mają być w pamięci,
Dzień, gdy Staura, Haura się na chutor [2] nęci.
Oto baczcie, dziatki, tylkośmy zaklęli,
Przyszły na wieczerzę, gdzie siedzim weseli,
A dorodnej córce waszej, Katarzynce,
Za jej dobre serce przyniosły gościńce. — — —

Tłum. Alfred Tom.

---

[1] Pogańska bogini dobra i piękna.
[2] Mały folwark odosobniony.

FRANCISZEK BAHUSZEWICZ
(1840—1900)

KOŁYSANKA

Luli, synku, luli, miły!
Wszystkie kurki się uśpiły!
I kurczątka jednolatki
Pod skrzydłami swojej matki.
A ty czemu nie śpisz, synku?
Może kiedyś będziesz panem
Albo wielkim kapitanem,
A jak matka przyjdzie w gości,
Ileż będzie mieć radości!...
Ledwo zdąży siąść na ławie,
Przed nią syn chleb, sól postawi,
Rączki, nóżki jej obejmie
I odezwie się uprzejmie.
Poczęstuje miodkiem sytnym,
Blinkiem miękkim a podsitnym
I pierogiem nadziewanym,
Z wereszczaką wraz podanym...
Luli, synku, luli, miły,
Bo już kurki się uśpiły!
Toż to rada będzie matka! —
Chociaż prosta z niej sołdatka,
Ze czcią każdy ją pozdrowi,
Skoro się o synu dowie.
Luli, synku, luli, miły,
Bo już kurki się uśpiły!
Może kiedyś będziesz panem
Albo wielkim kapitanem:
Ludzi Bożych bić będziecie,
Trudno będzie żyć na świecie;
Będą kląć, jak jakie licho,
Boga o śmierć prosić cicho.
Luli, synku, luli, miły,
Bo już kurki się uśpiły!
A gdy matka przyjdzie w gości —
Syn wyrzuci stare kości;
Żebrać będzie szła do wioski,
Modlić się do Matki Boskiej,
By zapomnieć o tym synu
I nie wiedzieć, gdzie on zginął.
Luli, synku, luli, miły,
Bo już kurki się uśpiły!
Oj, już nie bądź ty mi panem
Ani wielkim kapitanem —
Bądź, czem matka cię zrodziła,
Żebym w gości nie chodziła,
Bym wiek z tobą wiekowała,
Harowała, pracowała...
Luli, synku, luli, miły,
Wszystkie kurki się uśpiły!
I kurczątka jednolatki
Pod skrzydłami swojej matki!...

Tłum. Alfred Tom.

MOJA CHATA

Biedna chatka moja przycupnęła skraju,
wśród kamieni, piasków, u samego gaju,
u samego boru, przy samiutkim lesie.
Nikt nie trafi tutaj, choćby w interesie.
Jak gorzałki niema, niema kęska chleba —
jakiż tu interes, komuż tu iść trzeba?
Lecz choć niema chleba, żebrać ja nie będę:
będę żył jakkolwiek, w pracy chleb zdobędę!
Lichaż moja chatka: podwalina zgniła,
dymna jest i zimna — a mnie jednak miła!
Mieniać się nie będę, choćby i na zamki;
milszy własny kołek, niżli cudze klamki.
Mech na strzesze porósł, na mchu rośnie brzozka;
milsza mi jest chatka, niżli obca wioska.
Oj, swataliż-ci mnie, kusząc obcą chatą,
ziemią urodzajną, dziewką tam bogatą.
Będziesz żył, gadali, całkiem, jak posesor,
jeździł parą koni, jak sam pan asesor.
Ale dla mnie droższy jest ten węgieł zgniły,
kamień ów przy drodze, piasek do mogiły,
niżli cudze pole, niż dom murowany!
Lepszy mi, niż surdut, kaftan mój porwany.

Proszą mnie w gościnę choćby do sąsiada;
naco mi? nie trzeba — powie, że objada.
Od cudzego chleba wargi się ściągają;
ci, co chcą cudzego — swoje porzucają.
Ja nie rzucę chaty, choć mnie rżnąć przybieżcie,
i nie pójdę do was, chyba że w areszcie.
A choćby mnie siłą oderwali z domu,
jak ten niedźwiedź, wrócę kiedyś pokryjomu.
Niech się chata zwali, zgłuszą się pokosy,
to i takbym wrócił, choćby goły, bosy!
Bierwion nawysiekam, potem mchu naznoszę,
znówbym sklecił chatę, byle jak, potrosze.
Zrobiłbym komorę, wykuł sobie żarna —
własny chleb-bym jadał, choć w nim mąka czarna!
Nuże, idźcież sobie — naco wam mnie trzeba:
Czy — bym chleb wam zjadał, czy — dostarczał chleba?

Tłum. Antoni Bogusławski.

HYMN BIAŁORUSKI

A któż to idzie, a i któż to idzie
W tej przeogromnej i głuchej gromadzie?
— To Białorusy...

A cóż to oni niosą na ramionach,
W pokaleczonych, zakrwawionych dłoniach?
— Krzywdę odwieczną...

A kędy, kędyż to oni zdążają?
— Na świat szeroki!... Swą krzywdę rzucają
Światu w oblicze!...

A któż to wywiódł te mnogie miljony,
Kto ze snu zbudził, iże są zbudzone?
— Ból i niedola!...

A czego, czegoż zapragnąć zdołali —
Oni wzgardzeni i ślepi, i głusi?
— Ach, zwać się ludźmi!...

Tłum. J. Ł.

ALOJZJA PASZKIEWICZ-KEJRYS («CIOTKA»)

(zm. 1916)

SKRZYPKA

Czego słowo nie wypowie,
To, czem nasze serce wzbierze —
Dość wziąć skrzypkę w ręce obie,
Póki mocy nie brak wierze,
Póki myśl się rwie do nieba,
Póki skrzydła nie złamane,
Póki chleba duszy trzeba —
Struny będą grały same,
Smyczek będzie górniej strzelać,
Skrzypki będą posłuszniejsze:
W piosnkę można wszystko przelać,
Co najlepsze, najmilejsze.
W pieśni można dać pioruny,
Pieśnią — serca rwać w kawały;
Gdyby mocne były struny,
I o szczęściu-bym zagrała!
Śmiechem-bym zagrała kwietnym
I szeptami niw złocistych,
Kos i sierpów dzwonem letnim,
Miodem słodkim lip puszystych.

Zagrałabym piosnkę matek,
Co nad dziecka brzmi kołyską,
Cały skarb rodzinnych chatek —
W pieśnibym zawarła wszystko!
Chcę na strunach go rozdzwonić,
Chcę roztopić w serca żarze —
Naród objąć i osłonić,
Nowe wznosić mu ołtarze.
Przy ołtarzu jabym grała,
Pragnąc duszę w dźwięki wcielić,
Wzywaćbym, to witać chciała,
To sąsiadów rozweselić.
Modliłby się smyk, gdy trzeba,
To znów zaklął na pioruny,
Albo skargę niósł do nieba —
Byle mocne były struny!
Struny — tęgie, smyk — niekruchy,
W żyłach krew mi kipi żywa.
Cyt! Słuchajcie, miłe druhy,
Moja skrzypka się odzywa.

Tłum. Alfred Tom.

JANKA KUPAŁA (J. ŁUCEWICZ)
(ur. 1882)

PIEŚŃ DO SŁOŃCA

Cichym gwarem tych choin wysokich,
Mgłami sennych tych nizin w krąg nas,
Baśnią bliskich i wieków dalekich —
Wszyscy, słońce, wołamy cię wraz.

Rozpuść wokół złociste swe kosy,
Zmarzły zagon promieniem swym grzej,
Kwieciem pokryj na łąkach pokosy,
Wschody nowe na ziemi tu siej!

Z niepozorną, potulną ziemicą
Ślubem zwiąż się i wiecznie w nim trwaj!
Zwierciadlaną się rozlej krynicą,
Gdzie dolina czy górski jest kraj!

I po siołach się rozsyp, po niwach
Brylantami rzeźwiących nas ros!
W barwach tęczy się kąp migotliwych,
Upieść serce i duszy ścisz los!

Słońce! w święto jak owo, w Kupałę,
Znów tak młode się stajesz, jak wprzód, —
Odnów naszej krainy też chwałę,
Odnów cały smęcący się lud!

Niech jawory brzmią wieczne nam dumy,
Niech sny-baśnie szeleszczą śród drzew!
Niechaj niosą się hen owe szumy
I przez świat cały lecą, jak zew!

Spójrz z choromów swych wolnych, wysokich
Na Krywicki, osnuty mgłą niż!
Baśnią bliskich i wieków dalekich
Społem ślemy wołanie ci wzwyż!

Tłum. Marja Rudzińska.

SPADEK

Od wieków po pradziadach mych
Mnie spadek nie ominął;
On w kole obcych, jak i swych
Pieszczotą mi matczyną.

Bają mi o nim skazkę-sen
Wiosenne przetainy
I wrzosów leśny szelest ten,
I w polu dąb jedyny...

O nim mi bają skazkę-sen
Z lip boćki swym klekotem
I stary ów omszały tyn,
Co w wiosce legł pokotem.

I jednostajny jagniąt bek,
Huczący na pastwiskach,
I ony wronich gromad skrzek
Z nad mogił cmentarzyska.

I w czarną noc, i w biały dzień
Wciąż troskam się okrutnie,
Czy aby skarb nie przepadł gdzie,
Czy go nie zjadły trutnie.

Nosimy go w głębinie dusz,
Gdzie wieczny płomień nieci,
Co pośród mroków i śród głusz
W wądołach jeszcze świeci.

Z nim żyje myśli moich rój,
Z nim sen śnię dobroczynny...
A zowie się ten spadek mój
Zwyczajnie: Kraj rodzinny.

Tłum. Alfred Tom.

KOSTUŚ MICKIEWICZ (JAKÓB KOŁAS, TARAS HUSZCZA)
(ur. 1882)

DOCZEKAŁ SIĘ
(Początek)

Roman Szuldziak właśnie odprzągł od pługa konia i puścił go, by pasł się w młodej dąbrowie nad jarem, a sam się położył w cieniu rozłożystego dębu.

Ech, miłaś ty, godzino odpoczynku, po pracy! A Roman się przecie napracował: już na polu, chodząc za pługiem, spotkał on wschód słońca. Z początku nie szła robota — zwyczajnie, nie było ochoty do pracy, bo jego przydział był najgorszy. Ale ponieważ dostał ten przydział według losu, nie było na kogo narzekać. A jednak trzeba było złość swą wylać na cośkolwiek czy na kogokolwiek. Istotnie Roman, prowadząc pierwsze brózdy, wrzał złością na nowe porządki, a najwięcej — to na tę «komunję», bo bardzo było krzywdzące, że wzięła go za kułaka; szczególnie zaś dopiekał mu ten «bosiak» — Kondratow Chwedźka. Żeby to chociaż był człowiek, a to zwyczajny obdartus, co przehulał całą swą ziemię jeszcze przed wojną, potem włóczył się po kopalniach, nigdzie miejsca nie zagrzał, na Syberję pojechał i tam też nie osiadł, a teraz oto wrócił, zamieszkał we dworze i krzyczy: «Ja — proletarjusz, a wy — kułaki, zabraliście wszystko i krew moją ssiecie!» Dobrał sobie wspólników, zrobił się prezesem «komitetu nędzarzy»; sam nic nie robi, tylko chodzi ze swoją kompanją po zamożnych gospodarzach, żeby gdzie co zabrać i zapchać swą wstrętną gardziel. A jednak nie chce im się iść wojować za «komunję». «Myśmy, powiada, bardziej potrzebni tutaj na tyłach, niż na froncie».

Skończywszy snuć swe myśli o Kondratowym Chwedźce na tej chwili jego życia, gdy tegoż Chwedźkę przyłapano na łapówkach, wskutek czego wyleciał z posady «prezesa» i został oddany pod sąd — Roman uspokoił się trochę. Robota pomału wciągnęła go w swój krąg. Szybko chodził za pługiem i tylko na zakrętach wycierał mokre swe czoło, odsuwając na kark czapkę. Wtedy dopiero, gdy słońce dopiekało, jak się należy, a koń i on sam zmęczyli się porządnie, odprzągł konia, by pochodził po trawie, a sam położył się pod owym dębem.

Dzień był jasny i ciepły.

Na polu już zaczęła kwitnąć gryka.

Przez pewien czas leżał Roman nieruchomo, odczuwając przyjemność i słodycz odpoczynku, leżał z zamkniętemi oczyma. Zwyczajnie, nie chciało się nawet i poruszyć. Ale bezwład ciała trzeba było jednak pokonać: poczuł, że go cisną sznurowadła, które wrzynały mu się w zmęczone, przepocone od chodzenia nogi. Roman usiadł, żeby się rozzuć.

Powoli, nie śpiesząc się, rozwiązywał sznurowadła, zdjął z nóg ciężkie łykowe łapcie, które niewiedzieć dlaczego nazywały się «kiereńskiemi», wytrząsnął z nich

czarne grudki ziemi i rzucił, by się suszyły na słońcu. Teraz było mu zupełnie dobrze, swobodnie.

Romana morzył sen. Spojrzał na konia sennemi oczyma, jakby coś rozważając. Konik wesoło gryzł młodą pachnącą trawkę i głośno parskał.

— Zdrów mały! — odpowiedział Roman na to parskanie i legł plecami na zielonym kobiercu, wyciągając się na całą długość swego krzepkiego ciała.

Zamknąwszy oczy, już zaczął drzemać. Jak cienie, przesunęły się po jego głowie wspomnienia, obrazy dawno minionych czasów. Przesunęły się i znikły,

— Hu-u-ur-r!

Daleko gdzieś, jakby z za ziemi, do uszu Romana doszedł jakiś głuchy grzmot.

— Czyżby nadciągała chmura i zbierało się na deszcz? — pomyślał Roman.

Podnieść się i spojrzeć na niebo nie chciało mu się, tak dobrze było leżeć. Znów się uspokoił, bliski zaśnięcia.

Grzmot przetoczył się raz jeszcze i cicho zakołysał powietrzem. Teraz huk ten był znacznie wyraźniejszy. Roman miał wrażenie, jakby go coś szturchnęło wewnątrz, bo w huku tego grzmotu czuło się coś nowego, strasznego.

Usiadł i przysłuchiwał się. Niebo było jasne, spokojne. To tu, to tam po niebie błądziły baranki białawych obłoczków, wróżące piękną pogodę. Zrzadka powiewał słaby wiaterek południowy, cicho kołysząc liście dębu. Roman przysłuchiwał się niedługo: tajemniczy huk zagrzmiał po raz trzeci i czwarty.

No, teraz było jasne: to grzmiały armaty, i huk ich dochodził akurat z południa.

Wybiło go to ze snu. Roman usiadł i słuchał, jak grzmiały dalekie wystrzały armat, a w duszy jego wzbierały jakieś fale złożonych uczuć i niewyraźnego nastroju. Przedewszystkiem zdjął go strach, ale zarazem było coś pięknego i zabawnego w tem dalekiem grzmieniu, i jakaś niejasna nadzieja kołysała serce Romana. Jaka to była nadzieja, ku czemu się zwracała, jaka była jej istota — w tem Roman nie mógł się połapać. W jego wyobraźni zaczęły powstawać obrazy wojny, starał się oznaczyć miejsce, gdzie grzmiały armaty, i już począł wyliczać, kiedy do tej cichej wsi napłyną fale wojny.

A straszne huki, mocno kołysząc duszę, stale grzmiały i grzmiały, to krótko, to przeciągle. Naruszały one zwykły bieg życia Romana, przynosiły nowe uczucia i wywoływały cały szereg nowych pytań. — — —

Tłum. Marja Rudzińska.

ŻMITROK BIADULA (SAMUEL PŁAUNIK)

(ur. 1886)

MÓJ SKARB

Mój skarb — od życia mocniejszy i śmierci,
On nieśmiertelny jest w śmiertelnem sercu.

Mój skarb tak błyszczy, jak diamenty,
Dostępny wszystkim — nie zaklęty.

Mój skarb — od zórz, mój skarb — od nieba,
Mój skarb — od gór, mój skarb — od gleby.

Jest w głębi wód i w szeptach boru,
W jedwabiu traw, śród ptasząt chóru.

Jest w srebrze migotliwych ros,
W piękności jest dziewczęcych kos.

Jest w marach-snach i w tajnych mękach,
W gęślarzy z strun lecących dźwiękach.

Poza mną — kurhany wieczyste,
Przede mną — oddale kwieciste,
Na rozstaju — dziad wędrowny.

Skąd-że i dokąd — z jaką metą,
Pod którąż to tajną planetą
Wiedzie mnie szlak nierówny?

Idę drożyną niewielką,
Płynącą jestem kropelką
W burzliwej wichurze życiowej.

Dlaczego i kto je skierował,
Pod jaką je zorzą zachował,
Kto szepce nad szlakiem — zamowy?

. . . . . .

...A jeden wystarczy promień
Dla serca burz, oszołomień —
I giną, jak cień, te pytania.

Wszystko już jasne na świecie,
A życie rozumie i dziecię —
I słabną dusz narzekania.

I żyjesz, jak kwiatek na niwie,
Jak dąb na polanie — szczęśliwie,
Jak burza — odważnie i śmiało.

I życia-ś jest pełen, jak chmielu,
W rozgłośnem i szczerem weselu —
Sens życia się zrozumiało.

Jam spadek wieków, syn — dawnego pokolenia,
Jam cień jest bystrolotny — tysiącoletnich cieni,
Jam chyży blask, co drga od zmierzchłych już promieni;

Ja dalej tkam desenie — bez miary i bez skrajów,
Jam prąd niedostrzegalny pradawnych jest ruczajów,
Jam trawką jest rozchwiejną wieczystych łąk i gajów.

W zórz dale się wyrywam ku nowym tajemnicom,
Zaczerpnąć wody chcę z nieznanej mi krynicy,
Po ogień sięgam wzwyż na gwiezdnej szczyt wieżycy;

Łańcuchy porwać chcę tej tysiącletniej stali,
Chcę przebić mur do nowych a świetlanych dali,
Chcę, by w odwiecznym śnie umarli, milcząc, trwali.

A zmarli żyją wciąż w każdziutkim moim kroku,
Odblaski ich migają w tem żywem mojem oku,
I we mnie, i pode mną, i nade mną wysoko;

W mym głosie się kołacą, w najcichszym moim jęku,
W mych myślach, mojej krwi, w trwożliwym przed czemś lęku,
Oni kierują mną — jam wiecznie jest w ich ręku.

Tłum Alfred Tom.

CISZKA HARTNY (ŻMITRO ŻYŁUNOWICZ)
(ur. 1887)

PIERWSZA FALA

Jam fala najpierwsza na morzu uśpionem.
Dalekam od kresu, lecz dal mnie nie lęka.
Wybrzeża okryte wieczornym welonem,
A cel mój — wytrwanie, a ruch mój — potęga.
Nie wstrzyma go przemoc, nie stanie w pól drogi —
I wolna przypłynę do krańców skalistych,
Zwiastując o burzy — potędze złowrogiej,
Choć zginę u celu w bezkresach falistych.
Rozbita o krawędź kamiennych wybrzeży
Opadnę, lecz zgon mój zacisza nie wróży.
A skała napróżno z mą siłą się mierzy:
Siostrzyce me — fale nawałnic i burzy —
Podążą do wrogich rubieży.

Tłum. J. W.

PIEŚŃ ŻNIWIARKI

Pada szybko żyta łan
Pod mym sierpem krzywym,
Snop za snopem w długi rząd
Ściele się wśród niwy.
Nie dbam, że mnie pali skwar —
Już się słońce zniża,
A nie czuję bólu rąk,
Ani nóg, ni krzyża.
Leje się strumieniem pot
I ramię omdlewa;
Ja, wesoła, ciągle żnę,
Ciągle żnę i śpiewam.
Czas z pośpiechem takim mknie —
I już wieczór bliski,
Ale dożnę niwkę swą
Nie później od wszystkich.
Jeszcze zdążę snopów rząd
Powiązać za troje, —
Ach, jak lubię, lubię żąć,
Żąć to żytko moje!
Kiedy wszystko zwiążem już
I złożymy w chacie,
Starczy na rok chleba nam —
Będziemy bogaci.
A słodki jest chlebek swój
(Niechże go nie braknie!) —
Ten razowy, czarny chleb,
Kiedy się go łaknie.
Śpiesz się, ręko z sierpem, śpiesz,
Piosnko, brzmij weselej!
A ty, żyto, jędrne bądź
I daj ziarna wiele...
Pada szybko żyta łan
Pod mym sierpem krzywym,
Snop za snopem w długi rząd
Ściele się wśród niwy.

Tłum. Tadeusz Radoński.

MAKSYM BAHDANOWICZ
(1892—1917)

APOKRYF

1. Od Maksyma Kniżnika początek...
2. Gdy upłynęło siedm tysięcy lat od stworzenia świata, Chrystus znów zstąpił na ziemię i chodził po niej, by się spełniło to, czego nauczali prorocy.
3. I chodził On po całym kraju naszym: i po Mińszczyźnie, i po Wileńszczyźnie, i po Mohylewszczyźnie, i po ziemi zadźwińskiej.

4. I wraz z Nim był święty Piotr i święty Jerzy. Lecz nikt z ludzi nie poznawał Go.

5. Bo szli oni boso, z gołemi głowami, i byli odziani w białe płótno, a nie tego się ludzie spodziewali.

6. Tedy nikt na nich nie zwrócił uwagi, gdy w czasie żniwa przechodzili między pracującymi ludźmi.

7. Jeno muzykant, nie mający teraz nic do roboty, zbliżył się do nich i rzekł: Wstyd mi, bo dzisiaj jest dzień pracy, i wszyscy są zatrudnieni; jam jest tylko nędznym człowiekiem.

8. I rzekł mu Jezus: Nie smuć się w sercu swem. Azali nie twoje pieśni śpiewają oni teraz podczas żniwa? Więc nie schylaj nisko czoła swego przed oczyma ludzi.

9. Albowiem kłamstwem jest, jeśli kto mówi, żeś zbyteczny na ziemi. Zaprawdę powiadam ci: oto nadejdzie na człowieka chwila żałości — i jak on wypowie smutek swój, jeśli nie pieśnią twoją? Również i w dzień radości on zawezwie cię.

10. I nauczając go, mówił: Z pieśnią kładą człowieka do kolebki i z pieniem spuszczają go do mogiły.

11. Życie ludzkie pełne jest codziennych trosk. Lecz gdy się targa dusza ludzka, pieśń jeno zdolna jest uspokoić ją. Szanujcie więc pieśni swe.

12. Albowiem śpiewają nawet żaby w bagnie. A wy czyż nie lepsi jesteście od nich?

13. Tak nauczał Chrystus. Lecz Piotr, usłyszawszy słowa te, rzekł: Nauczycielu, w kraju tym są ludzie, którzy nie mają nic do jedzenia. Azali nie ściśnie się od wstydu serce tego człowieka, gdy on w poszukiwaniu kęsa chleba przyjdzie z pieśnią swą do nich?

14. I w odpowiedzi na to Chrystus rzekł: Tak, życie ludzi owych ciężkie jest, biedne i zgnębione. Dlaczegoż chcesz jeszcze odebrać i piękno im? Mało jest im dane — czyż trzeba, aby było jeszcze mniej?

15. I zwracając się do muzykanta, spytał go: Kiedy u was śpiewają piosenki?

16. Muzykant zaś odparł: Śpiewają na Boże Narodzenie, na zapusty, na Wielkanoc, na Trójcę Świętą, na Jana Kupały, na świętego Piotra, na zażynkach i na dożynkach.

17. Śpiewają na urodzinach, na chrzcinach, śpiewają, kołysząc dzieci, i same dzieci, bawiąc się, śpiewają; śpiewają na zabawach i wieczorynkach, i na weselach, na pogrzebach, i przy biesiadzie, i przy pracy, i jako brańcy do «Moskali» idąc, i we wszelkiej innej przygodzie. Tak oto wciąż przez cały rok śpiewają.

18. I przemówił Chrystus do Piotra: Tyś, litując się nad dolą głodnych, potępił pieśń, lecz ludzie głodni nie potępili jej. Żywie jeszcze dusza w narodzie tym.

19. Tedy znów rzekł Piotr: Lecz niechże w pieśniach będą myśli dobre i pouczające, by prócz piękna zawierały i pożytek dla człowieka.

20. I odparł mu Chrystus: Niemasz piękna bez pożytku, albowiem samo piękno jest owym pożytkiem dla duszy.

21. I nauczając ich, rzekł: Spójrzcie dokoła! Azaliż nie zboże faluje koło nas?

22. Ciężko się trudził nad niwą gospodarz i oto widzi: śród zboża wykwitły bławatki.

23. I rzekł on w sercu swem: chleb odbierają ode mnie owe niebieskie kwiaty; bo ważkie kłosy mogłyby wzrosnąć miast bławatków.

24. Lecz od maleństwa piękno ich miało urok dla mnie. Dlatego nie wyrwę ich z korzeniem, jako wszelakie złe zielsko. Niech rosną i radują serce me, jak w latach ziecięctwa.

25. Tak rzekł gospodarz w sercu swem i myślach swych. I nie podniósł on ręki na bławatki.

26. Ja zaś powiadam wam: dobrze jest być kłosem; lecz szczęśliwy jest ten, komu sądzono być bławatkiem. Albowiem pocóż są kłosy, gdy niema bławatków?

27. I mówiąc to, usłyszał On pieśń żniwiarek i rzekł: Słuchajcie, co powiadają słowa pieśni tej. Składali ją ludzie, którzy znają wartość chleba.

28. Oni zaś usłyszeli, iż słowa pieśni owej powiadają: niemasz kwiatka nad bławatka. I dalej już szli milczący.

29. I bose nogi Chrystusowe pozostawiały ślady na ciepłym a miękkim pyle drogi.

30. Ale biada wam, ludzie, boście dawno już zatarli je. Amen.

Tłum. F. A.

SŁUCKIE TKACZKI

Z ojców chaty, z ojców ziemi
Na dwór pański — dla swej krasy
Były wzięte losy złemi,
Aby tkały złote pasy.

Długie wloką się godziny,
Giną w smutku sny dziewczęce,
Gdy szerokie te tkaniny
Na wzór perski tkają ręce.

A z za okna ślą dziewczynom
Swe uśmiechy łany żytnie...
Tęskne dumki same płyną
Tam, gdzie cudna wiosna kwitnie,

Gdzie lśnią zboża w jasnej dali
Razem z modrych chabrów rzeszą;
Kędy, błyszcząc srebrem fali,
Z gór w doliny rzeki śpieszą.

Mrok ogarnia krawędź boru...
Gdy tak toną w innym świecie,
Ręka, miast perskiego wzoru,
Tka ojczystych chabrów kwiecie.

Tłum. Tadeusz Radoński.

Wybór tekstów i układ Alfreda Toma.